

Kronika tygodniowa.

Zdarzyło mi się pewnego razu, iż wybrałem się na koncert wraz z mą połowicą i najstarszą córką, jak bowiem wiadomo zapewne każdemu z Czytelników, redakcyje otrzymują zawsze po kilka biletów wolnego wstępu dla swych współpracowników, którzy za to obowiązani są do przychylniej krytyki popisów muzykalno-wokalnych, choćby się na tem nawet nie znali i robienia publiczności.

Rzecz oczywista, że trzymałem się na uboczu w towarzystwie męskim, udając kawalera i przy tej sposobności zawarłem znajomość z pewnym bardzo sympatycznym jegomościem, który przybył do Krakowa w celach matrymonialnych.

W toku rozmowy zapytał mnie mój nowy znajomy:

— Panie łaskawy, czy nie wie pan, co to za czupiradło siedzi w pierwszym rzędzie krzesel na prawo?

Skierowałem wzrok we wskazanym kierunku i przekonałem się, że to moja najdroższa żona, która, rzecz muszę nawiasowo, rzeczywiście urodą nie grzeszy i sam nie wiem z jakiego tytułu zalicza się do płci nadobnej.

— To moja lepsza połowa! — odpowiedziałem uśmiechając się pod nosem na widok rzadkiej miny, jaką zrobił mój interlokutor.

— Najmocniej przepraszam! — wybełkotał zażenowany widocznie — Ja nie miałem na myśli tej dystygowanej damy, tylko tę drugą, która obok tak się rozparła!

— To znów moja córka!...

Zbaraniał do reszty, po chwili zaś, widocznie nie mogąc zapanować nad sobą, dodał:

— Niech mi pan dobrodziej nie bierze tego za złe, ale ja ogromnie lubię otwartość. To już dziecinne w naszej rodzinie!... Jak można było okazać tak mało gustu w wyborze dożgonnej towarzyski życia?

Odparłem sentencyjonalnie:

— Ja, kochany przyjacielu, cenię otwartość i odpłacam za nią tą samą monetą! Ja sam dziś tego żałuję, to jest, właściwie mówiąc, jestem ze swego losu najzupełniej zadowolony..., bo muszę. Pamiętam jednak, że nie to ładne, co rzeczywiście ładne, ale to, co się człowiekowi podoba... A moja Weronisia bardzo mi się ongiś spodobała, zwłaszcza, że mówiono o niej, iż po najdłuższym życiu swych rodziców odziedziczy wcale przyzwoitą kamieniczkę z zupełnie czystą hipoteką...

Zdaje mi się, że go przekonałem, kiwnął bowiem głową i zamyślił się poważnie.

Otóż, to samo, co ongiś rzekłem owemu jegomościowi, powtórzę dziś Szanownemu Autorowi listu z daty Kraków, 17. października, 1914.

Pan ów, podpisany „Krakowianin” pisze między innymi:

...W czasach, gdy pożoga wojny objęła niemal świat cały, Pan, wielce Szanowny Panie Kronikarzu, powinien dostosować się do powagi chwili i w tygodniowych artykułach swoich podawać nam wypadki lub też ich streszczenie w tym tonie, na jaki zasługują. Tymczasem kroniki pańskie biorą wszystko jedynie ze strony humorystycznej, a przytem grzeszą głównie tem, iż omawiają fakty drobne lub nie znaczące, pomijając natomiast te, które są główną wypadkową wszystkich obecnych zdarzeń. Cenię wysoko dowcip i talent W Pana, radbym jednak, a ze mną pewnie i nie jeden, by lutnię swą nastroił Pan Kronikarz bodaj czasem: na tragiczną nutę i dobył z niej tony, które nie tylko każą się śmiać, lecz zarazem płakać.

W obronie swej muszę przedewszystkiem zaznaczyć, że artykuły poważne, traktujące o wypadkach bieżących, znajdują stale pomieszczenie w „Nowościach Ilustrowanych” na innym miejscu, kronika tygodniowa przeznaczoną jest natomiast gwozi rozweselenia Czytelnika, który za swoje trzydzieści dwa halerze chciałby nie tylko samej powagi, ale bodaj troszeczkę krotchwil, co, jak stwierdziły kapacity lekarskie, wpływa nader dodatnio na wszelkie nasze funkcje życiowe, reguluje je wyśmienicie i podnieca, zagrzewając umysł do szlachetnych czynów. Wszak już pan Onufry Wczele Zagłoba tylko dlatego dożył tak poważnego wieku, że potrafił przetrwać nawet „Potop”, iż nie zapatrywał się tragicznie na wypadki współczesne i wolał śmiać się, niż płakać.

I ja, który podobno od niego (aczkolwiek dokonał żywota w świętym stanie kawalerskim...) ród swój wywodzę, jestem tego samego zdania i z tej przyczyny, choć mi Autor listu nie wierzy, docze-

kałem się pogodnej starości i mężnie noszę jarzmo małżeńskie od lat prawie trzydziestu.

Dodam, iż niniejsza interpelacyja jest pierwszą, wzywającą mnie „w imieniu prawa” do powagi, jaką otrzymałem w ciągu mej sześćoletniej kariery kronikarskiej, natomiast w archiwum swem przechowuję cały plik korespondencji, żądających stanowczo, bym się starał być jak najweselszym, co, niestety, nie zawsze mi się udaje. Jednym słowem, kroniki, podobające się innym, nie podobają się Szanownemu „Krakowianinowi” i na odwrót, gdybym posłuchał Jego rady, ściągnąbym na swą niewinną głowę tyśiące gromów.

Wyobrażam sobie, że najbliższy list byłby tej treści:

„Dość tragedyi w życiu! Daj się wypchać Szanowny Kronikarzu i pomalować na zielono, jeśli masz nas karmić samemi poważnemi rzeczami!”

Ale, dotąd się jeszcze nie urodził, ktoby wszystkim dogodził, nic też dziwnego, że i niżej niepodpisany kronikarz ma zwolenników i przeciwników, choć chciałby być, jak ów kalwaryjski dziadek z lirą, który pewnej nabożnej pątniczce miał zaśpiewać za dwa centy coś smutnego i za dwa coś wesołego, ale w jednej pieśni.

W kronice to się jednakowoż przeprowadzić nie da. Jeśli ma być wesołą, to cała, od początku do końca.

Aby jednak zadowolić Szanownego Autora listu, postaram się niniejszą kronikę nastroić na poważną nutę, by, niczem owa cebula, wyciskała łzy z oczu mych P. T. Czytelników, zwłaszcza, że zbliża się dzień Zaduszny, który każdego usposabia do smutku.

Pozwolę sobie dodatkowo zauważyć, iż list wyżej zacytowany wyszedł z pod pióra (tak mi się przynajmniej wydaje!) tego samego Czytelnika, który, jako „Jeden z wielu”, wybeształ mnie pod datą 20. lutego 1914, iż chwałę dyrektora Pawlikowskiego za jego artystyczną działalność, gdy on tymczasem na to nie zasługuje.

Porównywałem oba pisma i znalazłem w nich bardzo wiele wspólnych cech charakterystycznych, i na nich też opieram swój sąd, nie wiem, czy trafny, gdyż, jak już swojego czasu zaznaczyłem, na grafologii się nie znam, a redakcyjny nasz grafolog walczy gdzieś pod Warszawą, czy Dęblinem.

Proszę więc o nastrój poważny, śmianie się zakazane jest pod grzywną, względnie karą aresztu.

Nawiązując do zakończenia poprzedniej kroniki, traktującej o „pechu”, muszę zaznaczyć, że przesładował on mnie w samej rzeczy. Rozpisałem się, jak się patrzy, tymczasem pan metrampaż, który nie zna, co to żarty, powiada: „Dość! Ani kroku dalej!”

Wobec tego dziś dopiero mogę ukończyć ów pechowy traktat, oddając pierwszeństwo ze względu na pleć owej wróżce, która przepowiedziała na dzień 15. października zajęcie Warszawy przez wojska sprzymierzone, nie określiła przecież roku. Na razie zawiodła się, tak samo jak konsul niemiecki ze Lwowa, który twierdził, iż od 20. października będzie już urzędował nad Pełtwią.

Największego przecież, takiego prawdziwego „pechów pecha” mają nasi gimnazjaliści, którzy, wbrew oczekiwaniu, rozpoczęli już rok szkolny, z czego bynajmniej nie są zadowoleni. Proszą Boga, by jeszcze Grecy wypowiedzieli Austrii wojnę, nadarzyłaby się bowiem doskonała sposobność do rozpoczęcia na całej linii bojkotu różnych Homerów, Herodotów, Sofoklesów i jak się tam jeszcze nazywają ci panowie, wynalezieni na utrapienie młodego pokolenia.

O swym pechu dużo także mógłby opowiedzieć pan Pasicz, któremu sprawiły lanie serbskie sufrażystki w Niszu. Nawet cierpliwym niewiastom sprzykrzyła się już polityka obecna, wyładowały więc swą energię w sposób dla ekszellencyi niezbyt przyjemny. Serbia, jak z tego widać, europeizuje się, Serbki wstępują w ślady Angielek. Choć niema między nimi pani Pankhurst, nie ustępują jej przecież w dzielności i zyskują światową sławę swemi „robotami ręcznymi”, których ślady nosi serbski premier na swym dostojnym cyferblacie.

A Anglicy nie mają może pecha z owym „latającym Holendrem”, jak słusznie nazywają gazety krążownik „Emden”, który pojawia się tu i ówdzie, aby zatopić jaki okręt angielski i zniknąć potem, jak kamfora. Nawarzyli sobie samochcąc piwa, teraz muszą je wypić. Pod wodą dokuczają im łodzie podwodne, na jej powierzchni przesuwa ich „Emden”, na lądzie „gruba Berta”, w powietrzu zaś Zeppelin.

Trudno jednak, jak wojna, to wojna!

Miałbym ochotę owej „grubej Bercie” poświęcić słów bodaj parę, gdyż na to w całej pełni zasługuje, boję się przecież, czy to będzie licować z powagą kroniki. Zresztą mógłbym wejść w kolicę, z swą wła-

dzą domową, która już kiedyś, gdy przez sen bredził coś o „Bercie”, wzięła mnie na spytki zaraz rano, co to za kobieta, gdzie ją poznałem, co mi się o niej śniło i t. d. Sledztwo, dzięki Bogu, wypadło pomyślnie. Magnifika kręciła z początku jakoś niedowierzająco głową, dała się przecież przekonać, gdy jej przedstawił autentyczne zdjęcie, przedstawiające „grubą Bertę” przy pracy.

Takiej rywalki nie obawia się żadna kobieta. Mnie to po części zadowoliło, widzę, że pocziwa Weronisia jeszcze mnie kocha, skoro jest zazdrosną. Po wiem przecież w sekrecie, że ta jej miłość czasem mi już wyłazi bokiem i nastraja mnie melancholijnie, jak tego właśnie żąda pan „Krakowianin”.

Natomiast, ilekroć nadarza się sposobność, by pochwalić coś, co odnosi się bodaj pośrednio do Galicyi, wszelakie *Schreibjüngeltesy* wiedeńskie zachowują głębokie milczenie. Widzimy to teraz z okazji wypadków wojennych. Cała prasa wiedeńska, a za nią zagraniczna, podając sprawozdania z pola walki, rozplywa się nad bohaterstwem n. p. honwedów i poświęca im całe szpalty, o wojsku galicyjskiem nie wspomina wcale, albo tylko półgębkiem. A przecież, jak wiemy z opowiadań naocznych świadków, nasza piechota, kawaleria i artyleria nie ustępuje w niczem ani Niemcom ani Węgrom, kto wie nawet, czy ich w męstwie i sprawności bojowej nie przewyższa.

Nie mogłem się dość nadziwić, że naszym Legionom poświęcono wzmiankę, wprawdzie dość ogólną, ale przecież i to coś warte na te ciężkie czasy.

A *propos* wojny muszę wspomnieć jeszcze o nowej zupełnie nerwicy, tak zwanej mobilizacyjnej, która właśnie w tych czasach pojawiła się u nas, przybierając nawet charakter epidemiczny, zwłaszcza jak nas informuje fizykat, w południowych okolicach miasta.

Słabość ta pojawia się w okresie asenterunkowym, zwykłym lub nadzwyczajnym, a ulegają jej obowiązani do noszenia broni. Do objawów chorobowych zaliczyć należy przedewszystkiem gwałtowne swędzenie w okolicy pięt i ogromną chęć znalezienia się jak najdalej od miejsca przynależności.

Nasi klinicyści pracują nad obszerną monografią tej nerwicy, która niezawodnie nie wygaśnie aż do końca wojny.



Inżynier Michał Schwarz obecnie Bardyów, Węgry. Fő — Ter Nr. 21 zamieszkały, szuka Stanisława Kareckiego, sekretarza Rady pow. w Husiatynie, który ostatnio miał być w Szeszorach lub Kosmaczu obok Kosowa.

Uczennice klasy IV i V wydziałowej mogą pobierać naukę prywatną, prowadzoną podług przepisanych planów. Na końcu składają egzamin w szkole publicznej. — Wpisy przyjmuje **Matylda Schremelówna, Kochanowskiego 12**, codziennie od 10—12 i 3—5.

<p align="center">WYROBY KRAJOWE</p>		
<p>Rok założ. 1880.</p>	<p>D. Béze</p>	<p>Rok założ. 1880.</p>
<p align="center">Zakopane, Krupówki.</p>		
<p align="center">WIELKI WYBOR PERFUM.</p>		
<p>Pamiątki patryotyczne.</p> <p>Wielki wybór biżuterii francuskiej i fantazyjnej</p> <p align="center">MOZAIKI.</p> <p>Prawdziwe granaty.</p>	<p>Wyroby rzeźbione Zakopiańskie.</p> <p>Wyroby skórzane.</p> <p>Wielki wybór torebek damskich.</p>	<p>Wielki wybór ZABAWEK.</p> <p>Lalki</p> <p>Krakowianki.</p> <p>Laski i toporki.</p> <p>Kartki korespondencyjne ilustrowane.</p>